

# Rozdział I

---

Okoliczności, w jakich Luko zawarł znajomość z Edą, nie przedstawiały nic zgoła ciekawego. On był żołnierzem na czterodniowym urlopie; ona – zapracowaną studentką medycyny.

A Luko miał lat osiemnaście. Dwa miesiące spędził na wojence, i to przeważnie na froncie, nim mu darowano te cztery dni. Odjechał, jak każdy urlopnik – pijany szczęściem, gotów podróżować na dachu wagonu przez tunele, byle tylko nie stracić jednej z tych kilkudziesięciu godzin życia. Znalazł wszakże miejsce w wagonie; być może, iż w tym pozornie szczęśliwym przypadku właśnie – krył się zarodek wszystkich późniejszych jego nieszczęść tudzież ich rezultatu: śmierci pozbawionej wszelkiego sensu.

Na dachu bowiem musiałby przez całą podróż uważać, żeby nie spaść – przynajmniej nie przed pierwszym tunelem, który by go mimo uwagi – zmiotł. W wagonie natomiast mógł rozmyślać; a to dla żołnierza niebezpieczeństwo równie złowrogie, jak sam pobyt na froncie.

Dopiero teraz zatem, jadąc na wymarzony urlop, chłopczyna zdał sobie sprawę, d o kąd go los zepchnął. Los? Gdzie tam los, ludzie!!

Mózg jego przetrwał te piekielne dwa miesiące w omdleniu – a może po prostu jeszcze spał. W każdym razie – czarne węzowisko wrażeń, jadowitych jak kobry a pożerających się wzajemnie w histerycznym natłoku – daremnie przypuściło świszczący szturm do bezbronnej duszy dziecka; mimo swej bezbronności obłąkana dusza leżała bezpiecznie, zwinięta w kłębek, za grubym murem znieczulenia. Obecnie jednak, gdy mu nareszcie wolno było wychylić głowę na świat słoneczny – i zaczerpnąć prawdziwego powietrza, dusza zamrożona odtajała pod pierwszym promieniem radości, umysł ocknął się i mrugając, rozwarł powoli przerażone oczy; i mały Luko musiał skonstatować, że osobiście i na jawie, *realiter et corporaliter*<sup>1</sup> – zrzucony został do piekła.

Pierwsze uczucie chłopca w reakcji na ten fakt było zdumienie; potem dopiero przyszło przerażenie, by ustąpić oburzeniu wielkiemu, które zostało definitywnie.

-----

Teraz dopiero przeżywał to wszystko, co się w ciągu dwu miesięcy nieszkodliwie otarło o jego świadomość. Przypominał sobie niezdrową ciekawość przed pierwszym „występem” na froncie, krótką chwilę niehumanistycznego strachu, gdy się ciało i dusza człowieka buntowały przeciw nadużyciu; potem – obojętność letargu albo – idiotyzmu, podczas gdy zmysły wszystkie, wzrok, słuch, węch, bezbronne chłoneły nieprzebrane zastępy samych potworności. Z przestraszonym wstrętem uświadomił sobie zbydlęcenie własne i wszystkich towarzyszy, które pozwalało zabijać bez gniewu, bez drgnienia – czasem tylko z pewną ciemną satysfakcją zwierzęcych instynktów. Zbydlęcenie, dzięki któremu nie zdawali sobie sprawy, że są w piekle. Pamiętał obrzydliwość sielanek podczas rzadkich okresów niepewnej bezczynności – sielanek w brudzie i smrodzie podziemnych okopów. Rozczulające wspomnienia, czasem skrzek jakiegoś zardzewiałego instrumentu, koszmarne żarty na temat klęski wroga i zaspokojenia płciowego –

To wszystko na tle wszechogarniającego Leit-motivu<sup>2</sup>: bezdennej nędzy organicznego życia. Brud niemytego ciała, przeohydne odory, szmaty przepocone, przeżarte, przekrwawione – choroby śmiertelne a smrodliwe, ciała chrupiące, rzeżące, dyszące w bagnie brudu i kału – wreszcie śmierć litosna w tysiącach postaci okropnych. Śmierć – tak łatwo o nią marnemu ludzkiemu ciału – a tak przecie trudno! Tak trudno, że wobec straszliwej twardości życia w stworzeniu wszelakim – śmierć stanowi właściwie rzadką, niemal cudowną łaskę. Ileż z tych cielsk, które widział rozplątane, z wnętrzościami na wierzchu, bez twarzy, z rozstrzępionymi kośćmi – ileż z nich wstąpi naprawdę w czysty, nieodgadniony świat, gdzie już nie ma krwi ani kału? Mniej, niż połowa. Reszta natomiast będzie nadal – żyć. Żyć, tylko bez oczu, bez rąk, bez niektórych organów wewnętrznych, na pozór nieodzownych. Żyć o głodzie straszliwym – któż da ślepcowi robotę, któż pobuduje choćby przytułki dla tych zastępów nieprzeliczonych, które wojna wypłuje na wpół strawione? Żyć będą, jak lilie polne – na bruku wielkomiejskim. W męczarniach równie strasznych, jak męczarnie frontu – tylko cokolwiek dłuższych. Ale to nic;

ż y c i e nie da sobie przeszkadzać. Trzyma się każdej komórki zębami i pazurami; nie wypuści zdobyczy dla takich drobnostek, jak głód i męczarnie.

O tych, którzy z całą świadomością wysłali człowieka – miliony ludzi, tak jest, miliony... – na takie zatracenie, osiemnastoletnie dziecko nie śmiało myśleć. Wolało karmić zachłanny ogień rozbudzonej nienawiści – mglistymi, oderwanymi pojęciami Boga, Losu, Życia etc. Na te potęgi nadludzkie i bezkształtne skierował soczewkowe ognisko swego bolesnego gniewu. Nienawiść zżera duszę, wymaga ogromnych sił i odporności; zawsze łatwiej nienawidzić coś, czego sobie wyobrazić nie można – i co nie na pewno istnieje, niż przedmiot tak zrozumiałą i rzeczywiście, jakim jest człowiek.

Smutną była ta podróż na urlop. Smutną byłaby już, gdyby Luko powracał definitywnie w ziemskie życie, raz na zawsze zwolniony z piekła. Lecz bezpośrednio po tamtych wspomnieniach, po otchłannej męce przebudzonej duszy – chłopczyzna przypomniał sobie: ależ ja za cztery dni – muszę tam wrócić!!!

Sąsiedzi odsunęli się wtedy od niego, sądząc, że tyfus wybucha w tej chwili u urlopnika. Pokrył się bowiem nagłą, gipsową bledością, skurczył się w sobie, ładna jego twarzyczka wyrażała tę przepaść strachu, w jaką się czasem skazaniec zapada – lecz nie na sali jeszcze; dopiero w groźnej samotności swej celi.

Jakaś litościwa starsza kobieta zbliżyła się jednak do niego – chociaż cierpienie tej miary nie wzbudza już litości w widzu – jedynie tylko odrazę. Ona wszakże przechodziła zapewne podobne rzeczy, mając syna na froncie – a ból dojrzały przestał wywoływać u niej rozjątrzoną niechęć na widok cudzej męki; teraz przeciwnie doznawała tym silniejszego współczucia. – Nie rozporządzając innym środkiem, w braku nawet wody, podsunęła chłopcu kubek ordynarnej gorzałki, zabranej w podróż jako antidotum przeciw niezliczonym epidemiom, rozwleczonym po Europie.

Wódka orzeźwiła Lukę. Nie było obawy, aby go miała rozrzewnić: ból był o wiele za straszny na łyżę – nawet na łyżę lekkiego odurzenia. Zapomniał oczywiście podziękować; spojrzął tylko na właścicielkę tej ręki pomocnej oczami, które nie pojmowały, jakim cudem człowiek może jeszcze współczuć – i stulając barki, wciskając się w kąt, zaczął drzeć i dzwonić lekko zębami.

Być może, iż brak odpowiedzi zraził nieco kobietę – przecie w najlepszych nawet chwilach człowiek nie umie się wyzwolić od małostkowości. W każdym razie nie zbliżała się do niego przez dłuższy czas;

aż zaniepokojona chorobliwymi objawami gorączki, przysunęła się i zapytała:

– Pan jest chory, czyż nie tak? Dokąd Pan jedzie?

– Nie – nie jestem chory, wykrztusił Luko z trudem. Wcale chory nie jestem – tylko... i słowa uwięzły mu w zaciśniętym gardle. Dławił się i oddychał szarpanym wysiłkiem.

– No cóż takiego? – Czy się Panu co stało przykrego?

– Nie – nie – Przy-przy-przyp-pomniałem sobie t-tylko....

Kobieta zamilkła. Zrozumiała aż nazbyt dobrze. A wyjąkane wyznanie ulżyło chłopcu. Zebrał się cokolwiek; uświadomił sobie, że przede wszystkim jedzie na urlop, do domu, gdzie go oczekują z lękiem i niecierpliwością; wywołał obraz matki, rodzeństwa – i doszedł do przekonania, że powinien oszczędzić im bezcelowego współudziału w swych przejściach. Wypił jeszcze dwa kubki gorzałki; tym razem nie zapomniał podziękować, i, choć mu się od alkoholu niedobrze robiło, nabrał nieco sił – lub raczej ochłonął pod dobroczynnie przytępiającym wpływem narkotyku.

W takim to usposobieniu przyjechał Luko z wojenki. Trzymał się dzielnie od pierwszej chwili; potem udawało mu się zapominać na całe godziny – był przecie dzieckiem jeszcze.

Matka przyjęła go z czułością drżącą i łzawą. Troskliwość z jaką wpatrywała się w postać i w twarz syna – denerwowała Lukę. Uśmiechając się czule, myślał: patrz, patrz ile tylko zechcesz – choćbyś nawet odgadła moje myśli, nie umiałabyś pojąć ani najłżejszej z nich. Obejrzmie dokładnie, zapamiętaj sobie jak wygląda każdy szczegół mej postaci; bo jeśli mnie w ogóle jeszcze raz ujrzysz, to w stanie cokolwiek – – hm – uproszczonym.

Młodszy brat nie próbował nawet ukryć uwielbienia dla umundowanego wojaka; rósł z dumy, że ma bohatera w rodzinie, że wolno mu go nawet dotknąć, że jest z nim na Ty. Swoją drogą ledwo śmiał korzystać z tych bezcennych przywilejów. – Siostra natomiast, szesnastoletnia dziewczynka, okazywała wielkie onieśmienie. I ona ledwo śmiała się zbliżyć do żołnierza; sama zapewne nie wiedziała, dlaczego – w każdym razie nie uwielbienie było przyczyną jej zażenowania.

Luko zdawał sobie jasno sprawę z wszystkich tych zjawisk; patrzył na swych najbliższych z bezwzględną przenikliwością cierpiącego. Podziw u brata irytował go do pasji – podobnie jak zupełnie przeciw bez-

silna troskliwość matki. Lecz onieśmienie siostry, ogólne zajęcie się nim, fakt, że był niezaprzeczoną ośrodką rodziny – to uznawał za należny mu trybut. Mieli zupełną słusność, jeśli go traktowali niemal z czcią, jeśli matka nawet musiała ustąpić przed jego powagą; przecie wracał z piekła, jak Dante<sup>3</sup>. Należał mu się trwożny hołd, drżący szacunek. O, należał mu się. Tym bardziej – że mu przecie nic absolutnie ponad to dać nie mogli.

Zastał wszakże w domu nie samą tylko najbliższą rodzinę. Oprócz matki i rodzeństwa powitał bez zapału kuzynkę Edę. Znał ją od dawna, ale bardzo pobieżnie; właściwie nie znał jej wcale. Na scharakteryzowanie swego o niej pojęcia wybrał jedno tylko, wyraźnie określone słowo: że jest nieznośna. Eda bowiem nie okazywała nigdy ani zdziwienia, ani nagłego zainteresowania; własne natomiast uczucia i myśli tawiła pod jednolitą powłoką pogodnej obojętności – obojętności woskowej lalki.

Nie wyszła na jego przyjęcie. Wytłumaczyła to później bardzo rozsądnie tym, że w podobnych chwilach obecność osoby względnie obcej przeszkadza dotkliwie. Luko miał jednakże podejrzenie, że uniknęła starannie sytuacji, w której by nie ona była ośrodką ogólnego zainteresowania.

Zeszła dopiero na kolację, podała mu niedbale rękę, nie spojrzała nawet uważniej na bohatera, przybyłego dla odpoczynku po znojach wojennych – uśmiechnęła się z roztargnieniem i rzekła:

– Cieszę się, że cię jeszcze widzę całego.

Matka aż zbladła z gniewu. Tak za te słowa, jak za zlekceważenie doniosłej chwili. Nastąpiła chwila bardzo nieprzyjemnego milczenia. Luko, słysząc dziwne powitanie, mimo woli – ścisnął mocniej spokojną rękę, którą ujął był prawie niechętnie.

Podczas kolacji, drżąc z obawy przed najbliższym leżącym tematem, Luko począł rozprawiać z niezdrowym ożywieniem o nowych książkach i o teatrze; zadawał tłum pytań, na które mu jednak nikt oprócz Edy nie umiał – lub nie miał ochoty dawać odpowiedzi. Ona natomiast ożywiła się również; wnet rozmowa toczyła się wartko między nimi dwojgiem, wykluczając całkowicie trzy pozostałe osoby.

Lecz podczas wojny każdy temat wiedzie po błędnym kole do tego jedynego tematu. Więc i niewinna pogawędka o literaturze – tam ich zawiodła. Eda spostrzegła się pierwsza; i urwała nagle, gorączkowo

szukając jakiejś bocznej furtki do ucieczki. Matka wszakże skorzystała z jej milczenia, by nareszcie odzyskać swe prawa. I odezwała się oczywiście:

– Ależ Luko, opowiedzcie nam trochę o swoich przygodach..?

Luko szybko spuścił oczy. Matkobójczy szal wibrował mu pod czaszką. „Przygodach”!!! świszczał w nim bluźnierczy śmiech. I nim zdołał coś zabełkotać, spokojny głos Edy wysunął się przed niego, zastawiając go niby tarczą:

– Nell, a bądźże cicho! Czyż ty nie widzisz, że on gotów o wszystkim mówić, byle nie o wojnie?

Stanowczo Eda miała talent do wywoływania ciszy najprzykrzejszego gatunku. Tylko zaślepiiony zapalem, trzynastoletni Ned przerwał ją po chwili:

– Jak to, czemuż by nie miał o wojnie mówić? Ja bym miał co opowiedzieć na jego miejscu! I mam nadzieję, że wojna potrwa jeszcze parę lat, tak, aby mnie do wojska przyjęli...

Tym razem Luko nie umiał się już opanować. Wszyscy oprócz Edy poskoczyli na basowy ryk, niczym jego głosu nie przypominający:

– Idioto ty, przeklęty durniu!!

I, nim obecni zdążyli się opamiętać po tym gromie, zerwał się z krzesła, warcząc i sycząc z pałającymi oczyma:

– Jeśli mi się jeszcze raz kto waży pisnąć jedno słowo o wojnie, jeśli mi nie dacie zapomnieć, że noszę te szmaty śmierdzące – równocześnie zszarpnął z siebie pas i trzasnął nim o podłogę – to z miejsca od was uciekam. Wolę spędzić resztę urlopu w domu publicznym.

Już drzwi za nim trzasnęły. W kilka sekund później słychać było, jak grzmotnął nimi po raz drugi, zamykając się w swym pokoju.

Jakoś go wojna nie uszlachetniła, stwierdziła chłodno Hela, podłotek<sup>4</sup>, ukrywająca pod cichą nieśmiałością sporą dozę złośliwości panińskiej. A Luko – wszystko jedno, czy bohater czy też niewolnik katowany – był dla niej nieodwołalnie tylko – starszym bratem.

Matka zbladła mocno. Ona też nie potrafiła dokończyć kolacji po tym, co się stało. Lecz wybuch męskiej brutalności u syna mógł ją co najwyżej – przestraszyć na chwilę; nie mógł jej natomiast ani odrażać, ani nawet – urazić. Nie pojmując wcale powodu sceny – w każdym razie sobie przypisała winę. Opuściwszy jadalnię, zapłakała gorzko, sama nie wiedząc, o co właściwie. Przeczowała cierpienie swego chłopca – i własną niemoc.

Z trudem zdobyła się na odwagę, by pójść do niego w nocy – gotowa sama go przeproszać. Luko ochłonął tymczasem i robił sobie wyrzuty, pozbawione jednakże wielkiej intensywności. Głupota brata i... no tak, i matki – przejmowała go dotąd dreszczem wściekłości. Na jej wejście jednak zmiękł. Ujęła go drżąca pokora jej oczu – i wyraźny teraz ból miłości, która przeczuwa, że jest bezsilną. Przeprosił ją pierwszy; pozwolił sobie na przenikającą rozkosz całowania jej rąk; no i rozwyl się oczywiście na cały głos, straszonym, rozdzierającym płaczem – zgoła niepotrzebnie.

Płacz ten równocześnie uspokoił go i odebrał mu odporność wściekłości. Tej nocy zasnął naturalnie od razu, lecz zbudził się po godzinie koszmarnych katuszy; zbudził się i zaczął rozmyślać ponownie.

Za cztery dni trzeba będzie wrócić. Nie zadawał sobie już niepotrzebnych mąk: nie szukał ratunku. Wiedział, że teraz już nie ma nadziei, by się wojna za kilka tygodni skończyć miała. I wiedział, że dezercja jest wykluczona. Nie karzą jej obecnie śmiercią – zbyt wiele bydlą armatniego trzeba by w ten sposób marnować bezużytecznie. Tym gorzej dla nich: wysyłano je w sam ogień, na śmierć pewną. Absolutnie pewną. A o ukryciu się nie ma mowy. Przypominał sobie i takie wypadki: zataczające się, pozornie nadgniłe zwłoki, wysuszone do kości – pod opieką kilku bagnatów. Wywleczono je z jakiego lasu, nim padły naprawdę – albo też zgłosiły się same, nie mogąc dłużej znieść głodu i egzystencji tropionych zwierząt – z tą tylko różnicą, że nie mieli ani nory przed deszczem, ani sposobu zdobycia sobie żarcia.

Nie. W całej Europie nie ma dziś azylu dla skazanych. Gdyby się dostał do Szwecji – i to chyba przepływając Bałtyk na łódeczce – toby go Szwecja wydała. Dla całego pokolenia mężczyzn istnieje tylko jedna droga: do piekła.

Wolałby właściwie nie czekać nawet rana, lecz zerwać się z wygodnego, czystego łóżka i jechać z powrotem. Cóż mu z tego urlopu, skoro nie może zapomnieć? W katuszach wyobraźni wił się cielesnie: prężył się i rozprężał, rzucał stężalym torsem w tę i w tamtą stronę – już nawet miał wstać i wyjść, wszystko jedno dokąd – lecz uświadomił sobie, że grzechem by było opuszczać to boskie łóżko bez wszy, nim nie zajdzie konieczność nieodwołana. Rozdrażniony do szału konfliktem gwałtownych uczuć, konfliktem tortury umysłu i zmęczenia cielesnego.

go – naraz opadł w błogim zluźnieniu, spoczął ciałem i duszą – westchnął jak mógł najgłębiej, a potem zaczął się wesoło śmiać z uciechy.

Przecież b y ł o wyjście, był ratunek!!!

Wyzwolenie nastąpiło zbyt nagle. Chłopiec przestał się śmiać – i zaczął się wykręcać, łasić się całą powierzchnią ciała o czystą miękkość pościeli, tarzał się z głową wstecz odchyloną, i jęczał, jęczał przeciągłym zawodzeniem; radość była zbyt straszna, wywoływała konwulsje.

Uspokoił się wreszcie i zasnął z powrotem. Nazajutrz był wesoł i ożywiony, jakby całe te dwa miesiące, razem z dniem poprzednim, okazały się ostatecznie – krwawym snem. Pozostałe trzy dni spędził przeważnie w towarzystwie Edy. Polubił ją gorąco; za to ilekroć go zirytowała – popadał w pasję nieproporcjonalną. Eda zachowywała się zupełnie tak, jak gdyby wojna nie istniała – jak gdyby Luko przyjechał z uniwersytetu za granicą i tamże miał wrócić. Na ogół był jej wdzięczny za ten takt; czasem jednak, ni stąd ni zowąd, napadał go niepoczytalny szał. Nienawidził ją wtedy, podobnie jak człowieka ciężko chorego rozwściecza nie prostactwo, lecz właśnie delikatny takt u otoczenia. Takt przecie polega na ignorowaniu jego stanu – i daleko silniej, niż babskie biadanie, podkreśla zupełną niemoc wobec obcego cierpienia.

W wesołym ożywieniu Luki było coś niepokojącego – tym głębiej, że się nie dało uchwycić. Eda określiła to później: jakby mu skrzydła rośły. Nie mógł jeszcze latać, lecz czuł boleśnie szybki rozwój ukrytych lotek u ramion – i na przedsmak rozkoszy wzlotu biały płomień migotał w odległej głębi źrenic. W każdym razie był spokojny i pełen uprzejmości – można by nawet powiedzieć – dobroci, gdyby to słowo miało jeszcze jaką treść. Szczególnie w ciągu ostatniego dnia promieniował po prostu. Podczas kolacji, spożytej z apetytem, podsycał swobodny nastrój niestrudzonym choć subtelnym dowcipem. W stosunku do matki okazywał czułość, do której nie była przyzwyczajona. Wobec Edy był czarujący. Wbrew uczciwym usiłowaniom nie osiągnął jednak całkowitej swobody u otoczenia; przede wszystkim nikt nie mógł zapomnieć o koniecznym wyjeździe – no, i dziwaczne gwiazdy w głębi źrenic nie uszły niczyjej uwagi. Matka uśmiechała się, lecz ręce jej dygotały. Eda przypatrywała mu się uporczywie; stopniowo brwi jej poczęły się ściągać. Biedny mały Ned, raz zgromiony od durniów, patrzył

w uwielbianego wojaka z podziwem i pokorą już zgoła psią. Hela, czując się źle jak każda dziewczyna w okresie przejścia, myślała zniecierpliwiona: Bogu dzięki że się teraz przynajmniej umie zachować – ale cieszyć się doprawdy nie ma czego.

Skończono kolację. I choć nikt nie powiedział nic zabawnego, Luko uśmiechał się nieustannie. Coraz goręcej nawet; zdawałoby się, że mu się mięśnie twarzy w ten uśmiech układają na stałe. Wrażenie stawało się nieprzyjemne. Wstając, Luko ziewnął – Eda zauważyła, że ziewnięcie było udane. Przygryzła wargę.

– No, to teraz pójde spać, bo jutro muszę wstać o czwartej – odezwał się zanadto swobodnie. Nie przestając się uśmiechać, ucałował drżące ręce matki. Gdy podniósł głowę – zaczął niespodziewanie dyszeć.

– Chłopcze, ty jesteś chory! – krzyknęła matka, głosem z radości stłumionym.

– Nie, mamusiu – nic mi nie jest, zupełnie nic. Nie będę ci wyliczać kar, jakie by na mnie spadły, gdybym się spóźnił.

Przy tym uśmiechał się uparcie, połyskliwie.

– Synku, przyjdę jeszcze do ciebie – szepnęła matka, drżąc tak silnie, że musiała się oprzeć o bliskie drzwi. Luko przestał na sekundę oddychać i mrugnął gwałtownie powiekami.

– N-nie, mamusiu, nie przychodź, proszę cię. I wszystkich was proszę – niech nikt nie wstaje jutro rano by się ze mną żegnać. Nie o was mi chodzi, lecz o siebie. Bo – prawdę mówiąc – j e s t mi trochę ciężko. Gdybym się rozczulił – stracę resztę odwagi. Miejcie wzgląd na biednego obrońcę Ojczyzny, błagam was wszystkich!

Z kolei przystąpił do pożegnania. Matka trzymała się dzielnie. Zamienili jeden pocałunek, tak ostrożny, że zimny niby akolada<sup>5</sup> dyplomatyczna. Ned – który nie zamienił z umiłowanym bratem więcej niż trzy zdania – teraz przypadł niespodzianie do jego rąk i ucałował je z gorącym nabożeństwem. Rzecz dziwna, Luko nie oburzył się – uśmiechnął się niesamowicie i mocno ścisnął drobne, skurczone łapiny. Również niespodziewanie ujął Helę za głowę i przycisnął do piersi, szepcząc z tym nieznośnym uśmiechem: „Dobranoc, Helu – dobranoc ci, kochanie moje”. Wreszcie znalazł się oko w oko z Edą; niezależnie od serdecznych słów i gestów, z jakimi się do siebie zbliżali – oczy ich staczały zimny, wrogi pojedynek. Ścisnęli sobie ręce tylko: „Bądź zdrowa” – „Bądź zdrów.”

Przy całej swej smukłości Eda była nadzwyczaj silna. Żadna prawie kobieta, nawet zawodowe tancerki, nie posiadały w owych czasach tak wytrenowanych, wypielęgowanych mięśni. Warto ją było śledzić, jak w pięć minut później przenosiła na rękach, nie przygryzając nawet warg, bezwładne ciało Luki na łóżko. Rozpiąwszy koszulę, przekonała się bez słuchawki, że serce bije; żałowała tylko, że nie śmiała stracić nawet kilku sekund poprzednio, by wpaść do swego pokoju po przyrządy laryngologiczne. Lecz gardło też nie było jeszcze uszkodzone; omdlały oddychał wnet zupełnie swobodnie. Zastanawiała się przez chwilę, czy mogłaby zostawić go samego na niecałą minutę, by pójść po morfinę – była przecie pewną, że gdy się ocknie – popadnie w szal. Byleby mnie tylko nie zbił, medytowała z półuśmiechem –

Luko otwierał olbrzymie oczy, jeszcze pełne mroku nocy głębszej od wszelkiej ziemskiej nocy. Oczy te, rozwierając się coraz szerzej, przesunęły się bardzo powoli po ścianie przeciwległej, po haku, krzesła – aż się wryły w spokojną postać kuzynki – po której zresztą nie można było poznać przyczajonej gotowości do skoku. Przeszywał ją wzrokiem przez dłuższą chwilę – twarz wykrzywiła mu się stopniowo.

Aż się zerwał. Ona przypadła do niego, lecz on pozostał na łóżku, oparty wstecz na wyprężonych ramionach – źrenice pochłonęły całą tęczę, żyła na czole wzdęła się w gruby powróż.

– Jakes ty śmiała mnie ratować, ty – ty suko, idiotko, tyyy... kurwo ty cholerna...!!? – wrzeszczał, wył opętany straszliwym bólem zawodu. Lecz nawet w podobnej sytuacji, nawet wobec równie krwawej krzywdy nie obrzucałby kobiety wyzwiskami – gdyby nie był napiętnowany piekłem wojny.

– Jakes ty śmiała, ty zatracone bezmyślne bydlę, nie dać mi nawet zdechnąć po ludzku? Ścierko przeklęta, odpowiadaj!

Nie pora była teraz wzdychać o morfinę. Eda dziękowała Bogu, że nie zapomniała zdjąć stryczka razem z wisielcem. Lecz krzesło – krzesło pod hakiem! A już słyszała gwałtowne kroki. Jednym więc susem szarpnęła krzesło i postawiła przy stole – rzucając się równocześnie ku drzwiom. Zdążyła właśnie paść piersią o pierś oszalałej z strachu kobiety. Schwyciła ręce matki z całych sił – lecz cudem tylko, przy całej swej przewadze fizycznej, zdołała ją jakoś przytrzymać.

– Nic się nie stało, Nell, naprawdę nic. Ten wysiłek przy stole go wyczerpał – a teraz ja weszłam bez pukania, podczas gdy się łzami zalewał. To go doprowadziło do spazmów. O... słyszysz jak dyszy?

Nieszczęsna kobieta opanowała się. Eda znalazła w niej upragnioną pomoc:

– Nell, proszę cię, przynieś mi – czy wiesz, gdzie jest moja apteczka? – więc przynieś mi to podłużne niklowe pudełeczko – i drugie skórzanne, w którym jest rząd ampulek. I eter.

Luko, słysząc kroki i oddech matki, pohamował się. Wściekłość w nim kotłowała, lecz mimo wszystko wyobrażenie matki, oszalałej z przerażenia, sparaliżowało odruchy pasji. Dysząc ciężko, zwałił się wstecz na poduszki – i trwał bez myśli w rytmie trudnego oddechu.

Eda obawiała się cielesnego wstępu wobec jej dotknięcia – i wynikającego stąd oporu podczas zastrzyku. Pozwoliła więc matce wejść i poprosiła, by odgięła chłopcu rękaw. Nell posłusznie wykonała polecenie – syn spojrział na nią z pod zapadłych powiek, spojrział z wyrazem bardzo zmęczonego psa. Nie bronił się wcale. Po iniekcji Eda zwróciła się stanowczo do drżącej kobiety:

– Nell, teraz musisz odejść. Obecność twoja nie pozwoliłaby mi – wyreagować się. A to konieczne.

Nell nie bardzo się opierała. Szloch ścisnął jej gardło do bólu. Nie mogłaby się powstrzymać od łkania po tym spojrzeniu syna – nawet w jego obecności. Odeszła więc bez słowa, nie obejrzawszy się za siebie.

Gdy Eda powróciła na stanowisko, morfina przeniknęła już ciało i duszę chłopca. Złagodniał zupełnie; i rwał się do gadania. Zwrócił na nią wzrok wciąż jeszcze przepastnych oczu.

– Żal mi, żem się uniósł – ale cię nie przepraszam nawet za najobelżywsze wyzwisko. Kobieto, jakeś ty mogła wyrządzić mi tę bezsensowną krzywdę. Gdybyś w tym widziała przynajmniej jakąś korzyść dla siebie czy dla kogokolwiek – ale ta zupełna bezcelowość rzeczywiście zasługuje na wszystkie wyzwiska, jakie istnieją.

– Czy ci naprawdę zależy na mej odpowiedzi, czy też sam się tylko chcesz wygadać? – zapytała Eda, by sobie zapewnić jego uwagę.

– Bardzo cię proszę – Zlituj się, dziewczyno, zaśmiał się naraz z goryczą, i ja ci e b i e uważałem za inteligentną kobietę!!

– Widzisz, Luko – rozumiem doskonale twoje postępowanie. Kto wie, czy bym na twoim miejscu nie postąpiła tak samo – gdyż dopraw-

dy nie można ci zazdrościć. – Ale szło mi przede wszystkim o twoją matkę. Zastanów się, jakie by były jej uczucia, gdyby weszła zaniepokojona do twego pokoju – i odkryła spotworniałego, dyndającego trupa. A nie ma wątpliwości, że to ona właśnie musiałaby cię odkryć. Wiesz równie dobrze jak i ja, że mimo twego zastrzeżenia wstałaby przed tobą i krążyłaby dokoła twych drzwi, by cię bodaj przelotnie ujrzeć, bodaj usłyszeć szmer twych ruchów. To raz. – A po wtóre, szło mi o ciebie.

– Edo, nie waż mi się o tym mówić, bo znowu oszaleję. Szło ci o to, bym sobie przypadkiem nie zdołał oszczędzić części przepisanych katuszy. Gdybym był po prostu skazany na lekką, szybką śmierć, otoczyłabyś mnie troskliwą opieką, leczyłabyś mnie z oddaniem w chorobie, bym przypadkiem nie oszukał rusztowania. Ale ja nie jestem skazany na prostą śmierć; ja jestem skazany na rafinowane, sadyczne tortury – które mają trwać póty, póki jestem zdolnym do życia mężczyzną. Wytężyłaś zatem wszystkie siły, by mnie to nie minęło. Wiesz Edo – w chwili zgonu pomyślę o tobie. Tylko o tobie, z natężeniem. Tak, abym mógł cię potem nawiedzać jako upiór. I mam nadzieję, że uda mi się doprowadzić cię do obłądu.

– Nie trać czasu na plecenie bredni, Luko. Zrozum z łaski swojej, że ty n i e jesteś skazany. Dlatego odważyłam się przeszkodzić ci w ucieczce. Odebrano ci wszystkie ludzkie prawa; przestałeś być człowiekiem – jesteś już tylko bryłką najtańszego na świecie materiału. Najtańszego, gdyż produkcja odbywa się całkowicie za darmo. I pamiętaj, Luko, że to ludzie śmieli tak przywłaszczyć sobie twą osobę i twe istnienie. Lecz pozostawili ci mimo wszystko – szansę przetrwania; i dla tej jednej szansy musisz żyć, jeśli jesteś mężczyzną.

– Ale po co? Po co mam znosić nieopisane piekło, którego ty sobie nigdy wyobrazić nie potrafisz przy całej swej praktyce w szpitalach i prosektoriach – po co mam znosić to piekło dla jednej marnej szansy przetrwania go? Czy diabelska twardość życia przynosi człowiekowi chlubę, czy co?!

– Po co masz żyć? A chociażby na złość, przyjacielu. Wszystkie potęgi ziemskie, wszystkie wyzyskane żywioły świata sprzysięgły się na twoje maleńkie, słabiuchne życie. Przebrnij zwycięsko przez cały ten ocean okropności; i wyjdź z niego bez szwanku, mocny i zły. Skorzystaj z doświadczenia potem, obróć uratowane siły na niez mordowaną pra-

cę: mścij bez litości siebie i miliony towarzyszy, przestrzegaj wielkim głosem następne pokolenie przed czartami ziemskimi, które wymor-dowały twoje.

Luko, uderzony, zamilknął na długo. Przecie ona miała istotnie rację. Przeciw tym argumentom zostało mu tylko jedno zastrzeżenie:

– Tak – ta perspektywa zemsty może doprawdy zachęcić do wytrwania. Lecz pomyśl Edo: mam jedną szansę ocalenia; mam jedną szansę szybkiej, lekkiej śmierci; lecz mam także dwie szanse – kalectwa. Czyż warto odmawiać sobie wyzwolenia na stryczku, czyż warto iść potulnie na nowe katusze – po to, by wrócić ślepcem albo bez rąk?

– Słuchaj Luko: jeśli wrócisz kaleką, to przyrzekam ci uroczyście, że ci natychmiast dostarczę środków do najłżejszej śmierci – a w razie żądania sama cię zabiję. Znasz mnie; wiesz zatem, że dotrzymam słowa mimo wszystko.

Luko był pokonany. Morfina pogrążyła go w spokojny sen. Przespał noc całą bez widziadeł straszliwych. Nie zaniepokoił się nawet przez sen, gdy matka, po półgodzinnym może błakaniu się dokoła jego drzwi, weszła powstrzymując oddech i zbliżyła się do niego z tysiącem ostrożności. Nie; nic mu to nie przeszkadzało, że jej zaczerwienione oczy głąskały i głąskały jego wyciągniętą postać; nie przeszkadzały mu suche, rozpaczne pocałunki tych oczu bezradnych, pocałunki, które powinny by właściwie pozostawić na skórze znak od sparzenia.

Eda wróciła do swego pokoju bardzo zmęczona i bardziej smutna. Daleko jej było teraz do tej pewności siebie, z jaką ośmieliła się rozkazać życ zbuntowanemu niewolnikowi. W rzeczywistości wcale nie była pewną słuszności swego żądania; i rozterka sumienia nie pozwoliła jej zasnąć. Pamiętała wyraźnie tych kilka epitetów, po których mogłaby nieomylnie poznać żołnierza. Słyszała je po raz pierwszy w życiu, choć je znała z druku. I – rzecz niesłychana – nie zaszła nawet potrzeba tłumienia w sobie oburzenia; nie brała ich za złe w ogóle. Luko miał pełne prawo zadać jej ból jak najostrzejszy; wyrządziła mu przecież istotnie krzywdę nieludzką. Czy słusznie...???

Że się powiesi – lub też innym sposobem zada sobie śmierć – o tym wiedziała od chwili pożegnania. Nie zdążyła więc zastanowić się nad swym obowiązkiem; trzeba było iść za nim bezpośrednio po odkryciu jego zamiarów, trzeba było działać natychmiast, bez namysłu. Nie cze-

kała również i pod drzwiami – ledwo dopełzła do nich, posłyszała stuk przewróconego nogą krzesła. W owej chwili nie myślała o Luce wcale; widziała przed sobą jedynie drżącą postać jego matki, opartą o ścianę, gdy z powstrzymanym oddechem zamieniała z synem ten ostrożny, bohaterski pocałunek pożegnalny.

Teraz robiła sobie gorzkie wyrzuty za ten sentymentalizm. Jak można było ulec lekkiemu skręceniu się serca – tego serca, którego porywy odznaczają się stale – najfatalniejszą głupotą? Jak można było zapomnieć o straszliwych możliwościach przyszłości pod wpływem przykrego wrażenia?! I po to tylko, by uniknąć bliskiego wstrząsu, bezlitośnie wypędzać nieszczęśliwe dziecko z powrotem do piekła?

O, jakże słusznie, jakże słusznie nazwał ją... z trudem zmusiła myśl do powtórzenia okropnych wyrazów. Ale tyle przynajmniej trzeba było już znieść dla pokuty.

Eda mało wiedziała o wojnie. Od dzieciństwa przenikliwość jej wzroku, wykluczając wszelkie rojenia iluzji, pojęła okrucieństwo życia tu dzież niezgłębioną jego ohydę. Nic zatem dziwnego, że się czym prędzej odwróciła od świata ludzi, zastawiając sobie drzwi – lecz nie okna – solidną barykadą książek. Gdy wojna wybuchła, Eda zareagowała trzeźwym dreszczem wstrętu – i odwołała abonament swej gazety. Pograżyła się jeszcze głębiej w pracy nienasyconej; przestała bowiem zażywać rozrywek, tak niewinnych dawniej, a tak monsturalnych teraz, jakimi są teatr, kabaret, lekkie książki.

Była rówieśnicą Luki; o dwa miesiące zaledwie młodsza od niego. Lecz zdała maturę fenomenalnie wcześniej, bo już w siedemnastym roku życia. Ponieważ by jej więc nie przyjęto na uniwersytet, wpadła na pomysł, by skorzystać z... wojny. Poszła na kurs dla pielęgniarek a potem pracowała do utraty tchu w olbrzymim szpitalu wojennym, protekcją uzyskując przenoszenie z wydziału na wydział, z chwilą gdy uważała, że zdobyła cały zasób doświadczenia, jaki mogła zebrać na jednym. I gdy ostatecznie dała tej pracy spokój po sześciu miesiącach, przynębienie okropnościami nie zaliczało się do przyczyn. Po prostu praktyka pielęgniarki nie mogłaby jej przenieść więcej korzyści; osiągnęła swój cel całkowicie.

W szpitalu ani razu nie doznała mdłości na widok stanu przywiezionych resztek człowieka. W ogóle człowiek nie interesował jej wcale.

Posiadała potworną nieczułość wielkiego lekarza, geniusza medycznego; widziała tylko wypadki, roznamiętniał ją przebieg walki między zniszczeniem a terapią.

Nie brzydziła się niczym. W ciągu pierwszych tygodni służby musiała spełniać najpierwotniejsze funkcje, chociaż przypuszczono ją od razu do ludzi, a nie kazano myć podłóg. Za to umyła sporą ilość przywiezionych, dychających jeszcze trupów. Czyszczenie ran nie męczyło jej w ogóle; zanadto ją interesowały ich postacie i stany. Natomiast nie interesowało ją cierpienie – chyba jako czynnik w całości. Uważnie przypatrywała się ropie – nie słysząc przy tym rżenia uszkodzonego, żywego organizmu. Pamiętała każdy szczegół rozharatanych cielsk, biednych marnych cielsk, leżących bezbrinnie w całej swej nadgniętej ohydzie pod potężnym światłem żarówki; twarzy wynędzniałych, wykrzywionych w skurczach bólu albo już śmiertelnie obojętnych – nie zdarzało się jej z reguły zauważyć, choć leżały niedaleko, trochę poza przeraźliwą wystawą jatk.

Teraz przyjechała do kuzynki, by odpocząć – no i dlatego, że Nell usilnie ją o to prosiła. Bezradna wdowa odetchnęła, gdy się nareszcie zjawił pod jej dachem człowiek, umiejący odcinać się losowi. Przywiozła z sobą niektóre przyrządy chirurgiczne – dlatego tylko, żeby się do nich przyzwyczaić; nie miała jeszcze prawa posiadać ich w ogóle. I apteczkę, która mogła się rzeczywiście przydać wobec niezliczonych chorób zakaźnych, czyhających dokoła.

Luko był jej serdecznie obojętny w chwili powitania; przestał nim być, gdy cała pasja maltretowanego wybuchła przy pierwszej kolacji wspólnej. Przestał nim być, gdyż zdołał zainteresować Edę. Dopiero on zmusił ją do zastanowienia się nad faktem wojny. Musiała sformułować sobie rozmaite przykre myśli, które od dawna tkwiły w jej przedświadomości, umyślnie zepchnięte w jak najciemniejszy kąt. Rozumiała Lukę doskonale; wyobrażała sobie ów ohydny, zwierzęcy strach żyjącego organizmu, strach, co miesi ciało, mnie je niby brudną szmatkę; czuła się zgoła nieswojo, odgadując przedsenne marzenia Luki – marzenia kończące się na pewno kurczowym uczepieniem się jedynego ludzkiego pojęcia, jedynej pociechy, jedyne ratunku przed obłędem, strachu: śmierci, wytęsknionej, straszliwej śmierci na polu bitwy, śmierci chociażby powolnej – na tej myśli tylko można było spocząć po obiegu – innych możliwości.

Eda rozumiała to; lecz rozumiała ponadto prywatną udrękę Luki, udrękę której, jak się domyślała z – przerażeniem, towarzysze jego nie dzielili. Mianowicie udrękę duszy ludzkiej, szczęśliwie niedostępną przynajmniej zwierzęciu. I, wbrew rezolutnym wysiłkom, wbrew determinacji, by żadnemu uczuciu nie zezwolić na mącenie swego umysłu – Eda poczęła zarażać się tą męką już tylko psychiczną, zarażać się niepowstrzymanie.

Nie sam tylko strach cielesny skłonił pięknego, silnego chłopca do powieszenia się w przeddzień wyjazdu na front. Być może, iż główną nawet przyczyną był bunt zhańbionego człowieczeństwa. Nie; Eda nawet nie umiała myśleć spokojnie o monstualnym świętokradztwie, popełnionym rozmyślnie na kilku milionach młodych ludzi. Odebrać człowiekowi wszelkie prawa do własnego życia!! Przywłaszczyć go sobie bezkarnie, dzięki przemocy – i wysłać, nie jako niewolnika lecz jako przedmiot o znikomej wartości, by siłami swymi i szerokością swego ciała bronił przenajświętszych ogniotrwałych kas właściciela!!! Wysłać go na katusze, jakich księża przebiegłość przed wiekami nie potrafiła obmyślić dla straszenia ludzi perspektywą piekła. Wysłać go, z zapewnieniem, że gdyby śmiał przypomnieć sobie, iż niegdyś był człowiekiem, postąpi się z nim na miejscu jak z psem wściekłym. Gdyby – będąc mężczyzną – przypomniał sobie jakąś godność ludzką wśród poryków komendy, których sam trzask (nie można powiedzieć: dźwięk) jest obelgą. Lub gdyby sobie przypomniał, będąc bogobojnym, – skasowane Piąte Przykazanie.

Ale – rzecz straszna, równie straszna, jak sama postać wojny – zdaje się, że to zapewnienie było w w i ę k s z o ś c i wypadków... zbędne!!! Człowiek, skradziony bezczelnie, zgwałcony na ciele i duszy, nadużywany we wszystkim, czym był – człowiek oderwany od spokojnej pracy i rzucony na dno piekła – nawet nie szalał z wściekłości!!! I z przestraszeniem bolesnym Eda zdała sobie sprawę z tego zbydlęcenia, jakie Luko stwierdził dopiero po dwu miesiącach katuszy wojennych, znoszonych po zwierzęcemu, bez myśli, bez oporu.

Wtedy zaczęła doznawać wobec kuzyna niespodziewanego uczucia – szacunku. Musiał być jednak wyjątkowo silnym, skoro się zdołał oprzeć endemicznemu<sup>6</sup> zbydlęczeniu. Skoro musiał myśleć nadal, tam gdzie inni stoczyli się momentalnie na poziom wołów roboczych i rzeźnych świń.

Rozpamiętując przy sposobności z upodobaniem jego nieprzystojny ryk na niewinne okrucieństwo matki i brata, Eda potknęła się o nowy fakt: jak to, więc temu zbydlęceni nie same tylko ofiary ulegają? Nie sami tylko żołnierze przestają myśleć po ludzku, przestają w ogóle posiadać inteligencję? Czyż to być może, by tu, z dala od frontu, w bezczynności i spokoju, wśród zupełnej swobody, dorosła kobieta dotychczas nie zrozumiała, czym jest wojna?? Lecz tak było w istocie. A Nell nie cierpiała nawet na nagłe zamroczenie umysłu, na paraliż władz psychicznych; nie, olbrzymia większość, prawie że ogół ludności cywilnej myśli lub raczej przestał myśleć dokładnie tak samo..!

Solidarność najściślejsza związała z sobą dwie myślące istoty ludzkie w tym domu. O zakochaniu jednak, chociażby nieświadomym, mowy być nie mogło ani u młodego mężczyzny, dorastającego z dnia na dzień w pożarnym tchnieniu nienawiści do bezimiennych potęg – dorastającego ku nagłej, dobrowolnej śmierci – ani u kobiety o męskim umyśle, w której mózg, żądający kategorycznie kamiennego milczenia uczuć, staczał zawziętą walkę z duszą, rozdzrganą gniewem zbyt wielkim, zbyt ciężkim na ludzkie siły.

Bądź co bądź jednak Eda zastanawiała się trochę nad samą osobą Luky – podczas gdy dla niego była tylko parą oczu, których spojrzenie zdradzało pojmujący mózg. Jedyny mózg na świecie, zdolny odpowiedzieć na krzyk jego myśli. Było to cokolwiek więcej, niż zakochanie się. Ale na pomysł, że to przecie kobieta, z którą by można noc spędzić jak z każdą inną – rozśmiałyby się co najwyżej z całą swobodą.

Jaki ten chłopak zdrowy – pomyślała Eda drugiego dnia wieczorem, po kilku partiach tenisa z niezmordowanym, sprężystym Luką. I to określenie zachowała na stałe; wydało jej się najtrafniejszym. Tak; Luko był nie tylko inteligentny, nie tylko silny; był przede wszystkim zdrowy. I dlatego żaden nakaz, żadna groźba, żadna nawet tortura nie mogła zatłuc w nim świadomej, nieprzekupnej duszy ludzkiej. Ciało i psyche tego chłopca były tak równomiernie nasycone potęgą życia, że zgnilizna nie miała do niego dostępu w żadnej postaci. Ani jako choroba; ani jako rozwydrzenie zatajonych bestialnych instynktów; ani wreszcie jako ten dziwny letarg, zaślepienie doszczętne, które oboje nazwali zbydlęceni.

Z wolna Eda poczęła rozumieć przyczyny tego zbydlęcenia. Ostacnie – kto wie, czyby nie należało dziękować za nie w imieniu ska-

zanego pokolenia, zamiast je z wściekłością denuncjować. Przecie to bezsenny dar, cud natury roztropnej, broniącej swych maltretowanych stworów. Gdyż istotnie – któżby był w stanie udźwignąć ciężar pełnej świadomości o rozpętanym na ziemi piekle – nie popadając w obłąd? Tylko kilkoro najsilniejszych; lecz i ci widzieli tylko małą cząstkę. Dla reszty – a już szczególnie dla męczeńskich baranów, za pomocą których panowie ziemi zabarykadowali własne kasy i szturmują cudze – dla tej cokolwiek licznej reszty świadomość ta nie byłaby możliwą do zniesienia. I oto litościwa natura, korzystając właśnie z ich niedoskonałości, przytępiła im władze percepcyjne silnym narkotykiem oszołomienia, wykrzywiła zwierciadło duszy w taką wypukłość, że obrazy zamazywały się i znikwały, nim trafiły w ośrodki nerwowe.

Jakże nieskazitelne musi być zdrowie Luki, jakże czysty i potężny żar jego życia – skoro organizm duszy zdołał odtrącić poniżającą pomoc samej natury, skoro wołał przebywać na jawie całą sadyczną wiwiskację, niż dać się schloroformować i oszczędzić sobie dziewięciu dziesiątych<sup>7</sup> męczarni!

I w tej to myśli leżała właściwa, utajona w nieświadomości pobudka do czynu Edy. I ona była przede wszystkim – zdrową; więc ponad wszystko nienawidziła frustracji, niszczenia wartości. To wspaniały okaz – medytował jej mózg w tajemnicy przed nią samą; to człowiek, któremu ludzkość będzie miała sporo do zawdzięczenia. Człowiek, który jeszcze nie rozpoczął nawet twórczej pracy swego życia – lecz rozpocznie ją prędzej czy później; będzie musiał się do niej zabrać. Szkoda go. Takich ludzi natura produkuje nader skąpą ilość; są bezcenni. Nie zmarnuje się zatem, póki ja temu przeszkodzić mogę.

Wygrzebała tę myśl nad ranem, oświeciła ją z wszystkich stron, i przyłożyła sobie do rozjątrzonego sumienia niby czarodziejskie ziele. Pomogło natychmiast. Wątpliwości, niepewność, rozterka zniknęły jak ręką zdjęte. Tak! Naturalnie, że miałam słuszność. Nacierpi się – trudno; nic to zgoła nie szkodzi, póki nie narusza zdrowia ani sił. A jemu nie naruszy. Zginie może; lecz jeśli nie zginie, to wróci – i rozbudzi myśl człowieczą w tysiącach bezmyślnych baranów. Tysiącom udzieli swej świadomości, swego buntu przeciw bezprawiu; dzięki ludziom takim jak on następne pokolenie podniesie Veto olbrzymie, gdy je spróbują powlec na nową rzeź –

Świtało. Podniosła się rześka, prawie wesoła. Poszła zbudzić Lukę. Na chwilę tylko – na krótką chwilę zdrętwiał i zszarzał po przebudzeniu. Nie żegnała się z nim, chcąc uniknąć wszelkiego ryzyka. Lecz powstrzymał ją u drzwi:

- Edo... Edo, słuchaj – daj mi... daj mi jakiś – talizman. Nie włosy.
- W tej chwili, odparła bez namysłu, z powagą niezachwianą.

U siebie zastanowiła się<sup>8</sup>. Kto wie, nuż nie zechce zrozumieć podobnych żartów? No, to da mu co innego. Sięgnęła do kosza na papiery i wyciągnęła stamtąd pewien przedmiot. Skróciła go nożyczkami, uważnie, by nie rozstrzępić. Jako kobieta o znacznym wykształceniu a przede wszystkim inteligencji, była mocno przesadną. Przesąd pierwszy poddał jej myśl o tak dziwacznym podarunku.

Luko przyjrzał się z zdumieniem ofiarowanemu uroczyście amuletowi. Co to takiego..??

– Dziecko drogie, nie zdradź się przed jakim Francuzem, że to posiadasz. Zabiłby cię, by zdobyć ten skarb. Oni bowiem uważają to za najsilniejszy talizman pod słońcem. Jest to „*corde de pendu*”<sup>9</sup>. Więcej, bo z twego własnego stryczka.

Luko pojął żart. Pojął i rozśmiał się głupiusieńko, aż się nie mógł uspokoić. Nie, doprawdy, nosić w kieszonce od kamizelki fragmencik własnego stryczka!!!

– Do widzenia zatem. Zobaczymy się jeszcze, jak nie w tym, to w następnym – roku.

I zniknęła. Luko natomiast ledwo zdążył na przeklęty swój pociąg.